

... archipelagi ...

Wojciech Kuczok
Widmokrąg





- Andrzej Czciwor-Piotrowski *Rzeczy nienasycone*
Andrzej Czciwor-Piotrowski *Cud w Esfahanie*
Adam Czerniawski *Narracje ormiańskie*
Stanisław Esden-Tempski *Kundel*
Ida Fink *Odpływający ogród*
Ida Fink *Podróż*
Manuela Gretkowska *My zdies' emigranty*
Manuela Gretkowska *Kabaret metafizyczny*
Manuela Gretkowska *Tarot paryski*
Manuela Gretkowska *Podręcznik do ludzi*
Manuela Gretkowska *Namiętnik*
Henryk Grynberg *Ojczyzna*
Henryk Grynberg *Drohobycz, Drohobycz*
Henryk Grynberg *Memorbuch*
Michał Komar *Trzy*
Włodzimierz Kowalewski *Powrót do Breitenheide*
Włodzimierz Kowalewski *Bóg zapłacz!*
Włodzimierz Kowalewski *Światło i lęk*
Zbigniew Kruszyński *Na ładach i morzach*
Wojciech Kuczok *Gnój*
Krystian Lupa *Labirynt*
Krystian Lupa *Podglądania*
Tomasz Małyszek *Kraina pozytywek*
Cezary Michalski *Siła odpychania*
Anna Nasiłowska *Księga początku*
Włodzimierz Pawluczuk *Judasz*
Henryk Rozpędowski *Charleston*
Sławomir Shuty *Zwał*
Piotr Siemion *Niskie Łąki*
Piotr Siemion *Finimondo*
Mariusz Sieniewicz *Czwarte niebo*
Christian Skrzyposzek *Wolna Trybuna*
Jerzy Sosnowski *Wielościąg*
Jerzy Sosnowski *Prąd zatokowy*
Grzegorz Strumyk *Łzy*
Magdalena Tulli *W czerwieni*
Magdalena Tulli *Sny i kamienie*
Magdalena Tulli *Tryby*
Adam Wiedemann *Sęk Pies Brew*
Piotr Wojciechowski *Próba listopada*
Tadeusz Zubiński *Odłot dzikich gęsi*



. . . a r c h i p e l a g i . . .

Wojciech Kuczok

Widmokrąg



Patronat medialny:



PORTAL
KSIĘGARNI
www.ksiegaria.onet.pl

 **matras**
KSIĘGARNIE



marie claire



Copyright © by Wydawnictwo W.A.B., 2004
Wydanie I
Warszawa 2004



Dla ◆





Žebry Adama
(apokryf)





Rozumiem: grać na czymś tam, to się już przyjęło, żałośnie rzępolący skrzypkowie, domorośli akordeoniści, w przejściach podziemnych, na rogach ulic, nawet w tramwajach, wchodzą na dwa przystanki i tak kaleczą szlagiery, że robi się z tego niemal konkurs na rozpoznanie pokiereszowanych przebojów, znacie tę piosenkę, nie ta tonacja, nie ta harmonia, ale oczci tak samo cziornyje, aż dla świętego spokoju człek dałby im te dwa złote, gdyby nie to, że się ledwo trzyma lewą ręką za uchwyt, wagon szarpie na zakrętach, a portfel głęboko w torbie, żeby kieszonkowcy nie mieli łatwo, więc zwyczajnie nie chce się grzebać, nigdy się nie chce, tylko dlatego nie dają im na to przetrwanie, przecież nie dlatego, że śmierdzą. Nawet tych studenciaków obdartusów, którzy na bezczelnego siedzą przy kapeluszu z kartonem informującym, że nie są bezdomni, tylko zbierają na piwo, przyjęło się traktować pobłaźliwie, za to, że żebrzą lekką ręką, za to, że przynaj-



mniej nie obciążają wyrzutem sumienia każdego, kto ich mija, ich można mijać otwarcie, jawnie, nie unikać wzroku, nawet rzucić mimochodem „butelki byście sprzedali, zamiast robić szopkę”, słysząc w odpowiedzi „pan dziś zasponsoruje browarek, to jutro będą butelki do sprzedania”. Nie to co ci ze skarbonkami, no ileż razy dziennie można pomagać dzieciom z porażeniem mózgowym, a przecież nie będę nadkładał przez nich drogi, żeby chociaż zapamiętywali, „o tak, pan już nam dzisiaj pomógł, panu już dziękujemy”, gdzie tam, wystarczy pięć minut później wracać obok nich i uciec wzrokiem, i już „może by pan wspomógł d z i e c i Z PORAŻENIEM...”, tak tak, zarzucają laso ze słów, tym wyraźniej i głośniej akcentując słowa, im dalej się zdąży odejść, żeby chociaż jakieś serduszka dawali do przypięcia, jak te Owskiaki...

Tak, już minęło paręnaście lat osvajania się z wszelaką formą żebractwa ulicznego, już mi się to zdążyło opatrzeć, odruch łapania za kieszeń na widok każdej karmiącej piersią po prośbie też już odszedł w zapomnienie, nawet sobie pomyślałem, że lada moment musi nas czekać jakieś przesilenie, żeby trzeba będzie przebrać w inne



szatki, ukryć pod innym płaszczkiem; ktoś powinien się bardziej wysilić, żeby na nowo przejąć przechodnia swoją nędzą, albo też musi mieć do sprzedania na poczekaniu coś więcej niż brak słuchu w parze z nadwyżką uporu.

I właśnie wtedy, w zupełnie nietypowym miejscu, nie przed bankiem, nie w głównej arterii miasta, ale w cichym zaułku parku Jordana, właśnie kiedy wybrałem ławkę idealnie oddaloną od jęczenia tramwajów i powrzaskiwania dzieciaków zmierzających na zieloną lekcję, kiedy wreszcie zasiadłem na ławce z gazetą i wczytałem się w nagłówek na ostatniej stronie, kwitujący kalamburem sromotną porażkę polskich futbolistów, właśnie wtedy przysiadł się obok.

Zbyt blisko; zaniepokoiłem się, kątem oka widzę, że to bliskość celowa, że z kartką jakąś siedzi. „O nie, jeszcze jeden”, myślę sobie, bo już widzę, że na kartce coś napisane i że rękę wyciągnął w geście proszalnym, i nawet mi się czytać nie chce, tylko się przesuwam, jak najdalej mogę, żeby tak po prostu nie odejść, bo cóż by to miało oznaczać poza ucieczką, przecież nie będzie mnie gamoń żebrzący z mojej ławki przeganiał, com ją sobie dopiero obczyścił chusteczką. Ale już na



tym krańcu ławki całe moje skupienie definitywnie w kąt oka się przeniosło, już omiatam bezmyślnie ten sam akapit, już wiem, że póki się on nie wyniesie, ja spokoju nie zaznam. I widzę, kątem wciąż, bo do uwagi bezpowrotnie mi odebranej przyznawać się nie chcę, więc że niby jej na niego nie zwracam, kątem tedy zauważam, że kartka zmierza w moją stronę, że zbliża się, bezczelnie na mojej gazecie się kładzie, panoszy, przez niego podsunięta mi pod sam nos. Marszczę tedy brwi, lewą na oburzenie typu hola, prawą na zdumienie typu no-coś-pan, ale czytam:

„Wspomóż mnie. Jestem goły i głodny. Nie potrafię kłamać. Nie potrafię kraść”.

No to już nie mogłem uchylić się, przemilczeć, udać, że mnie nie ma, bo tekst ów całkiem był nieżebracki, miał w sobie niespodziewaną dozę, by tak rzec, dostojności, spojrzałem więc na niego, spojrzałem więc i z wolna wiodąc wzrokiem w tę i w tę, szukałem punktu zaczepienia, jakiejś skazy, na której mógłbym zbudować swoje nieprzejednane stanowisko, od której mógłbym się odepchnąć i odejść krokiem stanowczym człowieka pożytecznego, nie poruszyłem się jednak, bo wszystko w nim było takie pierwsze, wszystko



w nim było takie czyste, jakby go dopiero co Pan Bóg stworzył, albowiem nagi był on najprawdziej, dusznie i cieleśnie, i aż się musiałem zmusić do wzdrygnięcia, no bo przecież ja nigdy nigdy, gdzieżby, u nas w rodzinie takich myśli nikt, mężczyzna na mężczyznę po kobiecemu patrzeć nigdy nawet we śnie, nawet we śnie nie mógł, więc przemówiłem do siebie basem wewnętrznym, rozsądnym, odwiecznym, tym, co to mutacji nigdy nie przechodził: „Wariat albo ciota jakaś zaczepna, może nawet uwieść mnie próbuje, w każdym razie okropność, brrr, ani minuty dłużej”, i odezwałem się protekcyjnie, przypominając sobie czasy, w których ojciec za pomocą przedniojęzykowego „f” stawiał moją młodość do kąta:

– A co potrafisz, młody człowieku?

I już byłbym zwinął gazetę, już miałem na odchodne przygotowaną dobitkę („Zastanów się lepiej, chłopcze, czy coś potrafisz”) i rzuciłbym mu pewnie złotówkę, bo we mnie wezbrała ochota na okazanie wzdrygnięcia, ale powstrzymał mnie, złapał za rękę (moja dłoń! jakim prawem! wyszarpnąć!)

– Proszę...



(jaki głos, cóż za głos głębinowy, czyściuteńki, mocny, jednorodny, słuszny, och dość, dość)

– Ale nie dotykaj mnie, co? Możesz mnie, chłopcze, nie dotykać?

(no i zapomniałem pochylić „ł” w chłopcu, a nic gorszego niż taki chłopiec wyprostowany, nieugięty, och, cóż to za uścisk, jak on śmie utrudniać mi uwolnienie, że też jakoś tak trzyma, no przestań mnie trzymać, gnoju, za rękę, nie będę się z tobą szamotał)

– Puszczaj, cholera, no!

Stoję, dałem za wygraną, gówniarz (no, nie taki znowu gówniarz, te okulary tak trochę myślące) jest ode mnie silniejszy, no złapał mnie gamoń za rękę, szarpałem, usiłowałem strzepnąć, zdmuchnąć („takich ludzi się zdmuchuje”, mawiał ojciec, mój wielki ojciec, kiedy jeszcze żył, kiedy jeszcze prowadził firmę, obiecywał, że kiedy będę już ważył siedemdziesiąt kilo, przekaże ją mnie, ale ważyłem wtedy szesnaście, i po kilku latach prawidłowego rozwoju miałbym w zasięgu dwadzieścia pięć kilo, a za osiągnięcie tej wagi miałem zostać zabrany na lot jumbo jetem, „synu, musisz być wielki i silny, bo cię zdmuchną, pamięć-



taj, słabych ludzi się zdmuchuje, potem chodzą tacy zdmuchnięci po dworcach i żebrzą, pamiętaj, synu”, więc jadłem, rosłem w siłę, a ojciec małał, i kiedy już osiągnąłem stosowną wagę do lotu, okazało się, że nie pamięta obietnicy, „coś sobie wymyśliłeś, nie zwracaj głowy, nie jesteś już dzieckiem”, i tego podstępnie darować mu nie mogłem, przestałem jeść, i tak zostało, piętnaście kilo niedowagi i ta przekłeta słabość), gdyby nie ta moja słabość, pewnie bym nie stał teraz obezwładniony, wytracony, przyłapany za rękę w ten idiotyczny sposób, mocnym, zdecydowanym i nieznoszącym sprzeciwu uściskiem, ale nawet nie nieuprzejmym, po prostu bezczelnym (o tak, to dobre słowo)

– Słuchaj no, młodzieniaszku...

(młodzieniaszek nie wymaga pochylania „ł”, sam jest w sobie słowem-klapsem, na gołą pupę, jeśli je odpowiednio zaakcentować, w sam raz na tego tu... zbudowanego tak... jak kościół... trzeba mi było go pomniejszyć...)

– ...jesteś bezczelny, nie będę się szarpał z tobą...

(chyba jednak zbyt łatwo dałem za wygraną, chyba mi pomniejszenie nie wyszło, bo prze-



cież stoję, a on siedzi, trzyma mnie i siedzi, stoję przy nim jak uczeń na egzaminie, muszę usiąść, ale jeśli mnie nie puści, ta bliskość będzie już bliskością nieznośną, teraz przynajmniej widać, że zostałem pojmany, za rękę, pojmany za rękę, bez prośby o pozwolenie, nie prosił mnie o rękę, a już mnie pojął, znaczy: pojmał, ach co ja, co ja, brednie, płacze mi się wszystko, oplótł, znaczy: oplątał mnie młody żebrak, „wstrętny” – bas wewnętrzny mi podpowiadał, a ja podjąłem, o tak, wstrętny żebrak, ohydny, ale zaraz go kontrapunktował jakiś nieznan mi dotąd, nieświadomy wewnętrzny falsecik, „ale jaki piękny żebrak”, oj, no czemuż zaraz takie słowa mocne, skąd mi się to piękno wzięło, nie wolno nie wolno, i bas: „swołocz uliczna, mydłek-renegat, rysztołowiec”, a falset: „meszek na karku, twarde podbrzusze, mięśnie jak kaloryfer, jakie piękne kontrasty, jaka wielość w jedność”, w każdym razie nie wykazałem się w należyty stopniu męskością („mięskością, miękkością, mość miejsce psiej kości”, podpowiadał falsecik), powinienem być raczej jednak już na początku nawet z buta go, przecież za nogę mnie nie złapał, ale skoro chciałem elegancko, że niby strzepuję tę rękę jak pyłek, z d m u c h u j ę,



chciałem elegancko, dostojnie, ale nie wyszło, i teraz już nie mogę tak po prostu go kopnąć, odepchnąć, wyszarpnąć, skompromitować mnie tym uściskiem, teraz to on, s i e d z ą c przede mną dostojnie, mnie trzymał, a ja nie miałem pomysłu, ubezwłasnowolnił mnie tym jednym gestem niespodzianym, och stanowczo już za długo mnie trzymał, ale co robić co robić, przecież nie zacznę krzyczeć, czemu akurat nikt tędy nie idzie, to może jednak lepiej go butem, ach nie, może jeszcze raz trochę łagodnie, odbudowując dostojność)

– Chyba nie liczysz na to, że w t e j sytuacji cokolwiek ci dam...

(zaatakować go, posądzić, ośmieszyć, z siebie na niego przerzucić podszepty haniebne!)

– No dobrze, jak widzę, ty sobie chcesz tak po prostu p o t r z y m a ć mnie za rękę, jesteś taki romantyczny pedalek, co? Chętnie bym cię z moją ręką zostawił, gdybym miał ich więcej, ale wybacz, ta akurat jest mi potrzebna, tak się składa, że żyję z pracy rąk, nie wyciągam ich po nie swoje pieniądze, chybabym się ze wstydu spalił...

A ten milczy i milczy; ja z każdym słowem wypowiedzianym pogrążam się w niewoli, on



moje każde słowo przemilcza, on m n i e przemilcza, i trzyma, ma mnie w rękę. Zacząłem się pocić, bo garnitur, bo nerwy, bo duchota, natychmiast mi się zachciało zdjąć marynarkę, ale jak tu zdjąć, słabłem jeszcze bardziej, słabość moja wrodzona, o której tak długo zapominałem, przez tyle lat uczyłem się zapomnienia, ale wciąż dawała się we znaki, po to nosiłem tarcze wzorowego ucznia na piersi zapadłej, po to licealne świadectwa z paskiem odbierałem ręką wiotką i drżącą z przejścia (a teraz nawet nie mogła sobie podrzeć, bo ten mi ją trzymał, powstrzymywał w swoim uścisku nieznośnym), po to dyplom z wyróżnieniem na zarządzaniu i od razu stanowisko kierownicze (mój wielki tata, kiedy jeszcze żył), po to, żebym musiał teraz prosić młodego gnojka bezdomnego (choć kto go tam wie z tą bezdomnością, może on bardziej domny ode mnie, w każdym razie na pewno teraz bardziej dumny, dumny ze swojego uścisku; on mnie z dumą przyłapał na słabości), żebym ja jego miał prosić o pozwolenie na zdjęcie marynarki? Absurd, toż to absurd.

– To jakiś absurd!



I usiłuję się uwolnić, niby pod pretekstem tej marynarki, ale sam już straciłem śmiałość i wiarę, a nie chciałem tracić sił, więc te moje podrygi, od których nawet nie zadrżały mu rzęsy, niczego nie zmieniły, widząc więc, czując, że on mnie już nie puści tak po prostu, tą wolną ręką zacząłem zdejmować z siebie marynarkę, tą uwięzioną dając delikatne znaki, że chciałaby pomóc pierwszej, że teraz mam zamiar się nieco rozebrać, psiakrew, ciepło jest, więc chyba mam prawo, i tak nerwowo się wijąc, bo rękaw przyciasny, bo to niełatwe, jakoś zdjąłem, ale on dalej nie puszcza, więc wisi ta moja marynarka pomiędzy nami, na ręce, z której jej zsunąć nie mogę, bo on nie puszcza, bo on nie pozwala, i co widzę, mój Boże, co widzę, wreszcie się poruszył, nie puszczając mnie, och jak on to zrobił, przełożył mnie sobie z ręki do ręki, no jak on mnie traktuje, przekłada mnie sobie jak dziecko, i moją marynarkę włożył na siebie, mojego Armaniego ten chłystek po prostu przejął ode mnie i jakby nawet wykonał coś w rodzaju dziękczynnego skinienia, ledwie dostrzegalnie mrużąc oczy, on pomyślał chyba, że ja mu zamiast pieniędzy marynarkę dać postanowiłem, och, i gdyby miało na tym nieporozumieniu



stanać, pewnie puściłby mnie wreszcie i wtedy, och wtedy już ja bym, och jużjabym jużjabym mu wtedy, o, o, o, wyjaśnił, wytłumaczył, wszystko bym mu, gnojkwowi, po policję bym zaraz, już bym postarał się, ale gdzie tam, on tym skinieniem mi niby podziękował, ale jakoś tak wzrok zaraz spuścił, czemuż on spuszcza wzrok, myślę, przecież nie ze wstydu, i podnosi, i spuszcza, i ach, zrozumiałem, że sobie moje spodnie upatrzył, marynarka to za mało, bo przecież garnitur dwuczęściowy, on mi spojrzeniem swoim bezwstydnym dał do zrozumienia, że marynarką się nie wykupię, że nią się nie wykupię, komplecik mu potrzebny, no teraz to już na moim miejscu każdy by dał w mordę, więc dlaczego nie dałem (słabość), na moim miejscu każdy by już wszczął rwetes (ale to idiotyczne, co ja ludziom powiem, że mnie facet za rękę trzyma i nie chce puścić, w dodatku jeśli w zasięgu wzroku ktokolwiek w tym parku cholernym, to same babcie z wózkami albo młode matki, czy mam wezwać na pomoc kobietę?), ale ja stałem już, zgnębiony i przygwożdżony tym przyłapaniem, i zamiast protestować, spojrzałem tylko na niego pokornie, że może jednak przesadza, chyba nie zostawi mnie bez portek (mamo,



tato, komu się tu poskarżyć), bez portek to jest nie fair, jakieś zasady nas chyba obowiązują (falsecik: „jakie zasady, przecież czujesz mrowienie, spodnie dla młodzieńca zdjąć to jak okno otworzyć i poczuć chłodny powiew, rozluźnij wszystko, poddaj, oddaj”, bas: „o jak zdejmę pasa”; ach więc jednak zdjąć, to nieuniknione), i tak na niego spojrzałem, mam nogi krzywe, jak ja się ludziom pokażę, wstyd mnie zeżre, no, to może ja te spodnie wyślę pocztą, jak tylko dojdę do domu i się przebiorę, och, gotów mu byłem to właśnie obiecać, przysiąc, podpisać nawet umowę, byle mnie puścił, ale gdzie tam, na moje spojrzenie on mnie tylko mocniej ścisnął, niby nieznacznie, ale sprawiło to na mnie okropne wrażenie, jakby od tej chwili jego uścisk ledwie dostrzegalnie, ale konsekwentnie się nasilał, i przez myśl mi przemknęło, że jeśli się nie pośpieszę, on mnie zmiążdży, zgniecie mój nadgarstek jak wydmuszkę, więc pomyślałem, że to jest niebezpieczny szaleniectwo, właściwie trzyma mnie na muszce, nie mogę go zdenerwować, trzeba ustąpić, żeby ratować życie, co tam dobra doczesne, co tam portki Armaniego, wszystko da się odpracować, a życie ma się jedno, i grzecznie jedną

